

BEZ PASZPORTU

Z PAMIĘTNIKÓW WYGNAŃCĄ



SZYMON TOKARZEWSKI

BEZ PASZPORTU

SZYMON TOKARZEWSKI

BEZ PASZPORTU

Z pamiętników wygnańca

NAKŁAD Drukarni
L. BILIŃSKIEGO i W. MAŚLANKIEWICZA

SKŁAD GŁÓWNY: WARSZAWA GEBETHNER i WOLFF

KRAKÓW G. GEBETHNER i S-ka

1910



59740

Kostroma, d. 2 sierpnia 1882 r.

— ...Miłość nasza dla Niej, jest czystą jak lilia... Jest bezinteresowną... Wykwitła na mogile i żądając dla Niej wszystkiego, dla siebie nie pragnie nic, a nic... Ta miłość w nasze serca wkorzeniła się tak silnie, że zgasnąć może dopiero z ostatniem ich tętnem...

— Bracie Szymonie, przerywa mi kanonik Rogoziński *), przemawiacie, niby trubadur do umiłowanej królowy.

— Alboż nie królowę mam na myśli?

— Tak, to tak, bez kwestyi... Tylko widzicie: zawsze, osobliwie zaś, w naszym położeniu trzeba na wodzy trzymać uczucia... A sposób w jaki chcecie je zmanifestować, wybaczcie, uważam za niewłaściwy.

— To nie manifestacja uczuć, kanoniku.. Zresztą co tu gadać, widzę, że poraz pierwszy w ciągu

*) patrz „Czernistym Szlakiem“ P. W.

W. 21/70/02101

naszego, kilkoletniego współzycia nie zdołamy porozumieć się.

Milknę.

Po chwili zaczynam nucić:

... jest kraj inny, za tym krajem.
A w tym kraju, świat mój cały,
A w kraju anić biały...

— No! no! — przymuszonym śmiechem wybucha kanonik Rogoziński, — skoro was szafirowe anioły z szablami u boku w swoje objęcia pochwycą, z sentymentalnego szału wytrzeźwicie się dopiero kędyś, blisko Oceanu Lodowatego, pośród Jakutów.

— Jakuci?! znam ich mnóstwo. Przemile plemię! — Co zaś do okolic arktycznych, zawsze one budzą zaciekawienie najżywsze. Teren to do badań niezwykły...

— Waryat! jak mi Bóg miły waryat! woła kanonik, porywa pudło ze skrzypcami i do drugiego pokoju wybiega, zatrzaskując drzwi za sobą.

Ksiądz Rogoziński wcale nie tuzinkowym jest muzykiem. Swoją przepiękną grą smutne chwile wygnańcom osładzał: w Tunce, gdzie był z wielu kapłanami internowany, następnie w Haliczu, gdzie przez lat ośm, ze mną przemieszkował.

W tej chwili kanonik Rogoziński wykonywał jakiś, bajecznymi trudnościami najeżony utwór Sarasatego. — To znać, oddziaływała kojąco na jego

nerwy, bo skończywszy grać, wraca do mojej izby i spokojnie mówi:

— Proszę was, bracie Szymonie, odłóżmy na bok retorykę, odłóżmy deklamacje, wstrzymajcie się od niewczesnych żartów, pogadajmy seryo. Odpowiedźcie mi po mężku, odpowiedźcie szczerze: czy chcecie jechać do Warszawy?

— Odpowiadam wam seryo, drogi kanoniku, odpowiadam szczerze: projekt wyjazdu do Warszawy powziąłem, skoro tylko zdjęto ze mnie nadzór policyjny i zamiar ten postanowiłem skutecznie bezzwłocznie, gdyśmy się z obmierzłej dziury: z Halicza, do Kostromy przenieśli.

— Toć przecież manifest korononacyjny, którego się można za kilka miesięcy spodziewać, da wam swobodę zupełną.

— Da?... zkąd wiecie?... Czy moglibyście kanoniku zaręczyć, że łaski z koronacyjnego manifestu i na mnie spłyną?

Wszak ja „recydywista“ „*mener rzemieślników*“, jak mnie w wyroku nazwano, już z paru manifestów bywałem wyłączany.

Ksiądz Rogoziński zamilkł. Nakłada fajkę. Ja ciągnę:

— Kanoniku, wszak od r. 64 jednym gościńcem idziemy. Zdarzało się rozmaicie, bywaliśmy naprzemian przyjmowani przekleństwami i kamieniami, chlebem i solą, serdecznością, lub złorzeczeniem... Za współczucie wdzięczni, obojętni na zniewagę, — katorgę, wygnanie, tę szarą dolę z moral-

nym bólem nieodstępnym, a stale towarzyszącą troską materialną, naogół znosiliśmy dość pogodnie. Bo nasze serca wciąż były zwrócone ku Polsce, bo krzepiła nas niegasnąca nadzieja powrotu...

— Tak! było tak, rzeczywiście, — przytakuje ksiądz Rogoziński.

— W ten sposób przeżyliśmy lat z górą ośmnaście. Spory szmat czasu, co?... Po odrzucanych moich prośbach do różnych władz, po tylu zawodach, szanse mego powrotu wydają się mnie coraz mniejsze... prawie żadne... A zarazem cierpliwość moja i zdolność cierpienia już się wyczerpują. A tęsknota za Ojczyzną stała się chorobą ciężką... która lada chwila mogłaby się stać szaleństwem... Nie dostrzeżliście tego?... to dowód, że jeszcze umiem panować nad sobą... Ale to już wysiłki woli ostatnie... Słuchajcie! Ten mój projekt odwiedzenia Warszawy, to nie przemijająca fantazja, to nie jakiś poryw szalony, — to rzecz obmyślona rozważnie. Zapewne okoliczności nigdy nie ułożą się przyjaźniej dla moich projektów; Kostroma spore miasto. Nikt nas tu jeszcze nie zna, wymknę się niepostrzeżenie, ani jedna żywa dusza nie zauważy mej nieobecności... A w Warszawie, moi drodzy! wszak tam ze starszych naczelników władz, już niema nikogo. Nowi stróże bezpieczeństwa, ci właśnie najgroźniejsi, ani mnie znają, ani też mego nazwiska nie słyszeli nigdy... Wśród półmilionowej ludności łatwo się ukryć, zwłaszcza, gdy kto, jak ja, tylu ma przyjaciół. Wrócę do was zdrów i cały.

— Daj to Boże! wzdycha ksiądz Rogoziński. O jedno tylko upraszam: zanotujcie to sobie dobrze w pamięci, że wam tę karkołomną eskapadę odradzał.

— Najchętniej stwierdzam, że poważnych i wszelkich argumentów użyliście, kanoniku, aby mię do wyjazdu zniechęcić, żeście mi ten wyjazd odradzali najusilniej.

Kostroma, d. 4 sierpnia 1882 r.

Wyjazd mój do Warszawy zdecydowany...

Jestem wesoły i rzeźki, jak gdyby mi ze dwa dziesiątki lat ubyło.

Ksiądz Rogoziński nalega, abym jechał drugą klasą, bo na pasażerów trzeciej klasy policyjni funkcjonariusze baczniejszą zwracają uwagę.

Faktycznie tak jest. Konspiratorzy zazwyczaj nie bywają w grosze zasobni...

Obliczamy wspólne fundusze. Na drugą klasę do Warszawy starczy.

Radzi kanonik zabierać z sobą tylko maleńką walizkę, z którą przemykać się łatwiej i z przed śledczych oczu też łatwiej się usunąć.

Racja! — wielkie bagaże ogromnie podróżnego krępują.

— Musicie też elegancko się ubrać, — konkluduje ksiądz Rogoziński.

Ja wybucham śmiechem.

— Tego waszego rozkazu, dalibóg! niepodobna mi spełnić. Moja garderoba oddawna gwałtownie domaga się remontu. Musimy pocieszać się, że śnieżysta białość gorsu i jego „glanc“, arcydzieło kostromskiej praczki, zamaskuje grubość płótna. Staroświecki krój ubrania, na podróznym w moim wieku, także nie będzie rażący.

Pakowanie rzeczy prędko skończyłem.

Kanonik tymczasem żwawo się krząta; przeróżne wiktuały zawija, abym się „po stacyjnych bufetach nie truł i przed żandarmami nie słał“. Ułożył już stos różnego kształtu i różnej wielkości paczuszek, a ciągle jeszcze coś z szafy wyjmuje i do owego stosu dokłada, pomrukując przytem: „*cara patria, — carior libertas*“.

Udaję, że nie słyszę, gdy się to przecie powtarza zbyt często, wołam:

— Co to, dobrodziej, szambelańskimi sentencjami przeznaczone dla mnie wiktuały przyprawia? Uniżony sługa! Otruję się niemi. Mógł dobrowolny wygnaniec, imć pan Kajetan Węgierski, taką sentencję wykoncypować i swój herb nią przyozdobić, ale *nam* tej herezyi powtarzać niewolno, kanoniku! Toćby *nas* tutaj nie było, gdybyśmy się byli rzadzili zasadą, że: „wolność droższą jest, nad Ojczyznę“.

— No! no! eksplikuje się skonfundowany i mar-

kotny ksiądz Rogoziński — macie słuszość. Głupstwo się rzekło, wyznaję i „*mea culpa!*“

Jarosław, w sierpniu.

Kiedym na przystani, w Jarosławiu zapytał dorożkarza, czy wie, gdzie mieszka arcybiskup Feliński, spojrzał na mnie wielce tem pytaniem zdziwiony.

— Zaśbym nie wiedział, gdzie mieszka „polski episkop“ odpowiedział uchylając czapkę — toć najmniejszym dzieciom u nas ten adres jest wiadomy.

Rzeczywiście, arcypasterz Feliński podczas swego wygnania w Jarosławiu zdobył sobie cześć i miłość ogólną.

Wśród sfer zamożnych bywał doradcą, albo rozjemcą w poróżnieniach rodzinnych, dla ubogich był opiekunem — stałym i niezmordowanym pocieszycielem.

Miejscowi notable świeccy i duchowni zażądali mu tej moralnej nad umysłami przewagi. Więc do władz „donosy“ szły jeden za drugim... Lecz gdy się okazało, że w działalności arcypasterza niema ani krzty polityki, lecz ta działalność jest czysto filantropijną, — pozostawiono go w spokoju.

Kiedy służący kartkę, na której skreśliłem swoje nazwisko, zaniósł w głąb mieszkania, zaraz

arcypasterz, z otwartymi ramionami, wybiegł na moje spotkanie.....

.....

Podczas gawędy poufnej, pierwszej po tylu latach rozstania, z zakamarków serc naszych wspomnienia wypadków, w których obaj braliśmy udział, — snuły się i nizały w różaniec z pereł jasnych, świetnych, błyszczących i paciorków czarnych, matowych, żałobnych

... a potem arcypasterz mówił

— Skoroś taki rezolut, że się bez paszportu do kraju wybrałeś, — przygotuj się na to, mój bracie, że znajdziesz tam nowych mogił mnóstwo. A z tych ścieżek, po których myśmy chadzali, wiele, jak mi donoszą, już dawno trawą zarosło, a co gorzej... wiele jest zachwaszczonych zupełnie.

— Wróciwszy, da Pan Bóg, będziemy chwasty wypleniał, drogi arcypasterzu! — zawołałem z zapalem.

— Rozumie się, mój bracie, gorliwie chwycimy się pracy — uśmiechnął się smutno arcybiskup Fełński i westchnął.

Odgaduję! On, równie jak ja przeczuwa, że będzie wyłączony z amnestyi.

Warszawa, w sierpniu.

Na dworcu kolei jarosławsko - wołogodzkiej w Moskwie, przyczepiła się do mnie oryginalna małżeńska para. Z twarzy i z figur, typy kałmuco-mongolskie, — z obejścia i stroju — typowi kupcy milionerzy z guberni środkowej Rosyi.

Ona rumiana, młoda, tęga niewiasta w kraciestej, jedwabnej sukni, w aksamitnem paltociku i białym, jedwabnym szalu na głowie.

On, brodac i grubas, w sukiennej, fałdzistej kapocie i w czapie wielkości półmiska.

Rozumie się, że nie odemnie wyszła inicjatywa poznamienia się z tą parą.

Z walizką w ręku stojąc na peronie upatruję jakiegokolwiek wehikułu...

Wtem owa niewiasta, która przez jaskrawość swej toalety wpadła mi już w oczy, zbliża się do mnie i zaczyna mię pytaniem.

— Pan na smoleński dworzec też?

Otrzymawszy skinieniem głowy odpowiedź twierdzącą, miłym, śpiewnym głosem przemawia:

— Pan nie dostanie już żadnej „telegi“, wszystkie już „rozszarpały pasażery“. Tedy cóż?... pan z nami naszym własnym tarantasem zabierze się na smoleński banhof. Bardzo proszę i Apołon Frołowicz, mój mąż, pana zaprasza też.

Apołon Frołowicz zbliża się do nas, czapki

palcami po wojskowemu dotyka, hałaśliwie śmieje się, rozdziawiając usta od ucha do ucha, i mówi:

— *Nus!* wiadomo! zapraszam! zapraszam, ja! a Pełagiejka Ignatjewna każe. Tak! i pojedziem razem, panie podróżny.

Zdziwiony tą uprzejmością nieznajomych, waham się...

Wreszcie widząc, że peron z pojazdów i z ludzi opustoszał już zupełnie, z konieczności grzeczną propozycję przyjmuję i moją osobę, wraz z bagażem wtłaczam do tarantasu państwa Frołowiczostwa, a następnie rad nierad muszę ulokować się z nimi w jednym wagonie.

Zaledwie pociąg ruszył, Pełagiejka Ignatjewna zaczęła rozwiązywać różnokształtne koszyczki, pudełeczka. Wyciąga z nich rozmaite smakołyki. Apołon Frołowicz tymczasem odkorkowuje butelki.

Oboje małżonkowie jedzeniem i trunkami częstują mnie bardzo natarczywie.

Grzecznie i stanowczo od traktamentu wymawiam się, żem syt, a trunków nie używam wcale. Niezrażeni moją odmową małżonkowie, nalegają abym „przekąsał“ i „przetęrał“, a jednocześnie sami raczą się bardzo obficie. Zwłaszcza Apołon Frołowicz, niby krokodyl szczękami kłapie, miażdżąc olbrzymie kawały mięsiwa z kawiozem, popijając arakiem.

W miarę oddalania się pociągu od Moskwy, przedział, w którym początkowo było tylko nas troje, zaczyna się gęściej zaludniać.

Raz poraz, jeden za drugim pojedynczo wsuwają się jakieś płci męskiej indywidna, widocznie „z pod ciemnej gwiazdy“. Jakoby obcy byli sobie zupełnie ci ludzie, przecież bardzo prędko zaznajamiają się pomiędzy sobą.

Pełagiejka Ignatjewna i Apołon Frołowicz grają rolę gościnnych, serdecznych gospodarzy, — jadłem i napojem szafują przy okrzykach: „li! proli! ty miły!“...

Oświetlono wagon....

Ktoś proponuje zabawę w „kartoczek“...

Propozycja wywołuje aplauz ogólny.

Aha! teraz rozumiem, jestem pośród szulerów... jestem ofiarą, jeszcze na dworcu jarosławsko-wołogodzkiem w Moskwie do ogrania upatrzoną przez członków szulerskiej wędrowniej bandy: Pełagiejkę Ignatjewnę i Apołona Frołowicza.

Jeśli, notabene, rzeczywiście tak nazywają się ci ludzie?

Co prawda, z takimi szulerami z profesyi wówczas stykałem się poraz pierwszy. Wiadomo mi przecież było, że ci, którzy po Rosyi Europejskiej w wagonach i na parowcach grasują i upatrzone osoby ogrywają, są w swoim fachu *minorum gentium*.

Od braci wygnańców, od rosyjan wiarogodnych, o szulerach z upodobania nieraz słyszałem fakta wprost nieprawdopodobne, a przecież najzupełniej prawdziwe, zdarzające się w Zabajkalskim, Usuryjskim i Nadamurskim kraju.

W tych pięknych i bogatych krainach kupcy przy hazardownych grach swoje suto złotem wypełnione kalety wyładowywają z szerokim humorem, równie łatwo i szybko, jak łatwo i szybko bywały naładowane, dzięki naiwnej, dobrodusznej nieświadomości autochtonów. Inaczej z urzędnikami.

Ci panowie, mając ograniczone fundusze, ryzykowali i przygrywali pieniądze z rządowych kas wyasygnowane na budowę, na cele rolnicze i sądownicze.

W Petersburgu leżały plany cerkwi, projekta wzorowych osad rolnych i sadów...

Lecz za Bajkałem, nad Usuryą i nad Amurem, tych fortec i cerkwi, tych osad i sadów oko ludzkie nie ujrzało nigdy...

Ani budowane, ani zakładane nie bywały nigdy, bo z rąk funkconaryuszów rządowych „kazionne” ruble wyslizgiwały się do szulerów.

Krążyły też po Syberii wieści o takim fakcie.

Pewien inżynier, rosyjanin, nad Amurem przebywał ze swoją przyjaciółką francuzką.

Namiętny szuler, grał z rozmaitem powodzeniem. Raz osobiście nie szła mu karta.

Partner jego pułkownik F. na ostatni kusz rzucił pięćdziesiąt tysięcy rubli.

Jako ekwiwalent tej sumie, inżynier przeciwstawił swą przyjaciółkę i — przegrał.

Francuzka chętnie zgodziła się zamienić inżyniera na pułkownika.

Wkrótce potem wygrana i wygrywający pobrali się i... jak fama niosła byli bardzo szczęśliwym stadłem...

Korzystam z pierwszej możliwości opuszczenia tak zacnej kompanii. Rad, żem zdołał bez szwanku ulotnić się z pośród bandy szulerów, sadowię się w innym wagonie.

Prócz mnie, w przedziale niema nikogo.

Staję przy oknie.

Ziemię objęła pogodna noc...

Lokomotywa ze stalowego gardziela miliardy iskiei wyrzuca...

Te obok pociągu mkną, tworząc fantastyczne widziadła: jakieś nieuchwytnie, rozwichrzone, w zwalach czarnych obłoków płynące postacie, które na okół płomieniste węże rozrzucają, pożary niecą, krwawo malują niwy i gaje, lasy i rzeki po drodze spotykane w przelocie...

Purpurowe refleksy odbijają się na ciemno szafirowym firmamencie...

Wschodząca pełnia księżyca wynurza się, niby z ognistego morza...

Tymczasem kurier nie zatrzymując się na podrzędnych stacyach pędzi... pędzi...

Rozmarzam się... Rozkoszuję myślą, że każdy obrót, każdy ruch tego olbrzyma do upragnionego celu mnie zbliża... że mnie zbliża do Ojczyzny, do swoich...

Jasny, słoneczny, sierpniowy dzień wstaje... Ustępując promiennej różowej zorzy wędrownie mgły znikają z firmamentu...



Nie odchodzę od okna pogrążony w kontemplacji krajobrazu.

Daleko mającą słomiane strzechy wioskowych chat i świeżo zorane rżyska i bory sosnowe.

Tu i owdzie przebłyskują stawy i strumyki.

Wszystko wesołe, rozświeconione, różowe.

Pociąg skróś ściernisk leci.

Mija od plantu odsunięte mendle snopów i niby żółte, baszty okrągłe—sterty świeżo z wiezionych zbóż.

Chłonę w siebie każdy wiew powietrza.

Każdy najdrobniejszy szczegół stęsknionem, rozkochanem spojrzeniem ogarniam i, schylając głowę, z pobożną adoracją szepczę:

— Witaj, ty moja ziemo, rodząca chleby, które pracowite rzesze żywią. Witaj!

A gdy tak myśl moja w ekstazie powtarza: „*Ave Patria!*“, do przedziału wchodzi ktoś...

Jako natręta wskraczającego w moje domeny, obrzucam nowego pasażera niechętnym spojrzeniem.

Ach!... jestto oficer żandarmów.

Młody, przystojny, blondyn jasny, wysmukły, tak rosły, że głową sięga sufitu wagonu, mimo porannego chłodu, jest tylko w mundurze; ma płaszcz niedbale zarzucony na lewym ramieniu, szabla z brzękiem wlecze się za nim... ruchem bardzo zmęczonego człowieka rzuca się na ławkę i papierosa zapala. Lecz zobaczywszy napis: „dla niepalących“ wciska papieros w popielniczkę i, doty-

kając dwoma palcami czapki, mówi z bardzo miłym uśmiechem:

— *Winowat!*

— Pał pan proszę—odpowiadam po rosyjsku, pomiędzy mężczyznami wszak nie powinno być ceremonii.

— *Mercis!* uśmiecha się oficer i, wydobywając cygaretkę ze srebrnej papierošnicy, siłą nałogu badawczy wzrok utkwil we mnie.

Lustrował mnie od stóp do głowy... Spotkały się nasze oczy.

On, w moje źrenice wpił jedno z tych spojrzeń, które jak sęp spadają na udręczoną i zatrwożoną duszę ludzką, aby kawałkami wyszarpywać z niej myśli, czy fakty, w najgłębszych jej tajniach ukryte.

Znałem takie spojrzenia. Tuchołko i kosoooki Zdanowicz na Pawiaku turturowali niemi politycznych więźniów, aby wydobyć z nas zeznania i do protokółów je wciągnąć. Te spojrzenia były stokroć sroższą katuszą, niżli wybijanie pięściami zębów i wyszarpywanie garściami włosów, których to praktyk, wyżej wzmiakowani inkwirenci dopuszczali się stale przy badaniu politycznych więźniów.

Czułem żar w głowie, a lód w piersiach, bo pomimo żem bez spuszczenia powiek wytrzymał wzrok śledczy byłem przecieź pewien, że lada chwila oficer zapyta mnie: „zkađ i dokąd jađę?... i poco?... i paszport mój zechce obejrzeć, a potem aresztować każe.

Ale nic z tego nie nastąpiło. Obawy moje były płonne.

Dla kontenansu wydobyłem swoje zapasy i udawałem, że z apetytem zajadam, podczas gdy oficer rozciągnął się na ławie i przez resztę drogi spał snem sprawiedliwego.

Na terespolskim banhofie zbudzony, bardzo grzecznie pożegnał się ze mną.

— Wszelki!... wykrzykuje pułkownik Walenty Lewandowski *) skoro mnie ujrzał z walizką i pakietami w ręku, w swoim mieszkaniu, róg ulicy Chmielnej i Brackiej.

Oczywiście miał zamiar zawołać „wszelki duch pana Boga chwali“, wszelako widząc, że bez powitania mijam pierwszy pokój i chyłkiem przemykam się do drugiego — jako stary spiskowiec, bardzo szybko oryentuje się w sytuacji i odgadując, że nagłe i niezapowiedziane pojawienie się moje w Warszawie jest nielegalne, ze swego wykrzyknika na poczekaniu przerabia frazes nie tyle gramatyczny, jak zręczny:

— *Wszelki* gatunek herbaty, do wyboru znajdują panie u mnie, rzecz w tem, jaki paniom przypadnie do smaku...

*) Kapitan z legionów polskich na Węgrzech w r. 1848 — następnie profesor w szkole polskiej w Batignolles — pułkownik z powstania r. 1863, patrz „Ciernistym Szlakiem“. P. W.

— A toś zuch, a toś chwat! — śmieje się pułkownik zacierając ręce, kiedy mu po odejściu klientek wyznał, że przyjechałem bez paszportu...

— Doradzać, nikomu bym nie doradzał takiej ekskursji, ale skoroś się sam zdobył na odwagę — dajże gęby, pozwól się uściskać... Rozgospodaruj się u mnie proszę, mój bracie, po syberyjsku bez obłudy i ceremonii. Odpocznij trochę, a później — do licha! *ex-re* twego przybycia, zamknę dziś budę. Puścimy się na Warszawkę, będę ci do wspólnych naszych przyjaciół ciceronował.

— Zgoda! Zgoda! na wszystko co obmyślisz i co projektujesz.

Warszawa, 15 sierpnia.

Ze spiżowych serc, ze spiżowych łon dzwoń archikatedry i innych sąsiednich kościołów płyną i wysoko ponad miastem ciągną harmonijne dźwięki, wzywające wiernych na nabożeństwa.

To dziś piętnasty sierpnia, święto Matki Boskiej Zielnej.

Wieśniaczki w naręczach naniósł wiązane kwiecia, ziół wonnych, makówek, jabłuszek i kłosów. — Warszawiaczy chętnie rozkupują te sielskie poświęcone bukiety.

Więc miasto, a zwłaszcza ulice, kościołów bliskie, pełne są świeżości, pełne aromatów.

... Po sumie idę ulicą św. Jana.

Jakaś kobieca rączka lekko wsuwa się pod moje ramię... Spoglądam, widzę: to pani Józefowa Leszczyńska, żona mego współtowarzysza więzienia w cydadeli i w Modlinie *).

Uśmiecha się i mówi:

— Pułkownik wczoraj sygnalizował mi wasz przyjazd... zaraz telegrafowałam do męża, niezawodnie lada dzień przybiegnie z Litwy powitać was i uściskać. Dowiedziawszy się od pułkownika, żeście poszli do Fary, przed drzwiami kościoła czatowałam, aby was pochwycić i prosić o przyjęcie gości u mnie. Dom kobiet, widzicie, mniej jest na oku policyi niżli magazyn ex-konspiratora, ex-wojaka Lewandowskiego.

Oba z Walentym musimy przyznać, że pani L. ma rację.

Korzystam z tej propozycji i przenoszę się do gościnnego domu pani Józefowej.

Co jak co, ale zamiłowanie do zabaw hucznych i traktamentów sutych, — to w Polsce trwa od wieków i nie zmieniło się bynajmniej.

*) patrz: „Siedem lat katorgi”. P. W.

„Wielki Przemysł” witał mnie w hotelu „Victoria” uczta wspaniała.

Przy humorach lekkich, niby pianka szampańskiego wina, które do kielichów szumiącym spływa strumieniem, — „Wielki Przemysł” toastuje na intencję rychłego mego powrotu do Warszawy (legalnego ma się rozumieć) i upewnia mię, że „w Polsce Szymonowi Tokarzewskiemu chleba nie zabraknie”.

Muszę wierzyć tym zapewnieniom, bo wszak „Wielki Przemysł”, to potencja ogromna, która w swoich dłoniach dzierży losy setek tysięcy biedaków i tymi według swej woli kieruje.

W latach sześćdziesiątych z tą potencją łączyły mnie stosunki bardzo przyjazne i zażyłe.

Czy takie same stosunki dałyby się teraz nawiązać?... Wątpię!...

Serdeczności wymienione przy kielichach szampańskiego nektaru nie obowiązują nikogo... pomiędzy ową epoką, a chwilą obecną, pomiędzy — *wczoraj*, a *dziś* — czas i okoliczności głębokie wykopaly przepaście...

Mimo to jestem pełen nadziei, że położenie moje chyba w tych czasach zmienić się musi. Wszystko wszak ma swój koniec. Bywałem w dość przykrych tarapatach, a przecież dawałem sobie radę. Otóż i teraz, gdyby mi tylko wrócić pozwolono, przy resztkach zdrowia, sił i energii, jakie zachowałem, potrafię jeśli nie zupełnie wygramolić się

na wierzch, to przynajmniej chociaż z samego spodu się wydostać i nie być podścieliskiem...

Dziś oczy i nadzieje wszystkich Polaków pod zaborem rosyjskim zwrócone są ku — koronacyi. Nie dziw przeto, że i ja swój wzrok i swoje nadzieje w tę samą stronę obracam.

Jestem podobien do mieszkańców krain podbiegunowych...

Przez kilka zimowych miesięcy w arktycznej ich ojczyźnie — nie było widać słońca... Więc już w początku kwietnia, chociaż wiedzą, że jeszcze słońka nie zobaczą, wychodzą przeciw ze swoich siedzib lodowych i z utęsknieniem, z upragnieniem spoglądają w tę stronę, gdzie się ma słońce pokazać...

A skoro się pokaże, z jakąż to oni witają je radością!...

Czas już chyba, aby po dziewiętnastu latach oczekiwania i w moje okienko upragnione słońce zajrzało.

Warszawa, 22 sierpnia 1882

Moję pielgrzymkę po syrenim grodzie skończyłem...

Śmiało rzec mogę, że chodząc po ulicach Warszawy, zaglądając do kamienic gdzie bywałem niegdyś, — powtórnie przeżyłem cały przeciąg czasu

od powrotu z pierwszej katorgi, w Omsku, do trzeciego uwięzienia w cytadeli i do trzeciego mego wygnania, to jest od r. 1857 do r. 1864.

Postacie moich przyjaciół i tych, którzy już w grobach spoczęli, i tych, którzy wraz ze mną spożywali gorzki chleb wygnania, i tych, po różnych krańcach świata rozproszonych — przed wyobraźnią moją jak żywe stają.

Koloryt moich wspomnień z owej epoki, koloryt na Syberyi cokolwiek przybladły, nabiera żywych, pięknych, jasnych barw...

Zaszedłem najpierw zdala popatrzeć na dworek, podówczas nr. 941 oznaczony, a będący w latach 1857 i następnych własnością panny Emilii Gosselin, która lubo miała cudzoziemskie nazwisko, wszelako była gorącą patriotką polską, a przytem kobietą niezwykle podniosłych przymiotów umysłu i charakteru.

W tym dworku ocienionym kasztanami z ogródkiem kwiatowym i z paru owocowemi drzewami, pod kierunkiem p. Emilii Gosselin kształciły się panienki z bogatych domów ziemiańskich.

W tym dworku zbierały się „Entuzystki“ z Narcyzą Żmichowską i Eleonorą Ziemięcką na czele; zbierały się najtęższe i najmędrsze głowy jak: Gustaw Ehrenberg, Henryk i Aleksander Krajewscy, Gerwazy Gzowski, Opieńscy, Traugut, Żulińscy i cała falanga innych. I najgoręcej patriotyczna młodzież, w której wiódł rej ognistego temperamentu Wła-

dysław Krajewski *) student Akademii Medycznej.

W tym dworku pojawiała się świetlana postać: księdza Benwenuty, a codzień zgromadzali się liczni



Władysław Krajewski.

goście w celach porozumienia się z sobą w kwestiach ważnych, w celu wspólnego roztrząsania po-

*) Władysław Krajewski, uwięziony w r. 1864, skazany został na wygnanie do Minusińska. Ułaskawiony, ale bez prawa pobytu w kraju, skończył medycynę w Wiedniu.

wziętych projektów, wreszcie dla wymiany uczuć i myśli.

Z panną Emilią Gosselin jeździłem do Warki, do pułkownika Piotra Wysockiego, odwieźć mu 2253 złp., które za staraniem p. Chrzanowskiego, właściciela Szymczyc, dla starego wojaka złożyła szlachta z ziemi piotrkowskiej.

Jakże to wzmocniły nas na duchu odwiedziny pełnego zawsze najświetniejszych nadziei rębaczal! I ta jego pogoda umysłu i ta jego skromność tak szczerą, a tak podniosła! **).

Poczem osiadł w Czechach w Teplitz-Schönau. U dr. Władysława—w willi, zwanej „villa Polonia“ zbierali się Polacy, przebywający na kuracji w Schönau. Za bezinteresowną pomoc lekarską udzielaną ubogim, dwa miasta czeskie ofiarowały mu tytuł honorowego obywatela. Dr. Władysław Krajewski umarł w Krakowie w r. 1892. P. W.

**) List pułkownika Piotra Wysockiego do p. Chrzanowskiego.

Szanowny Rodaku!

Niewidzę potrzeby opisywać mojego rozrzewnienia i wdzięczności, jaką moim ziomkom obowiązyany jestem, bo wszystko cobym niepowiedział w tym względzie, byłoby niedostateczne w porównaniu tego wzniosłego i szlachetnego uczucia, jakie wogóle moi ziemkowie dla mnie okazują, a które tylko przyszłe pokolenia będą wstanie osądzić i ocenić. Lecz co do mnie, to proszę zacnego kolegi, aby wszystkim moim rodakom oświadczyć raczył, iż oprócz wdzięczności, z jaką do zgonu życia mego za ten chwalebny wasz czyn pozostanę, już mi na niczem więcej nie zbywa, gdyż nabywszy z uczynionych ofiar waszych małeńki domek i przy nim kilka-

W r. 1864, w parę tygodni po mojem wywiezieniu, panna Gosselin umarła. Dworek został sprzedany. Kasztany i drzewa owocowe wyschły. Ogródek stał się śmietnikiem.

Obecny właściciel zamierza zburzyć domek.

I tak z domku, w którym najpiękniejsze dni mego życia przepędziłem, wkrótce nie pozostanie ani śladu.

Niema obawy, żeby podobny los, to jest żeby zagłada kiedykolwiek groziła pałacowi Uruskich, gdzie za mego pobytu w Warszawie mieszkali państwo Hipolitowie Skimborowiczowie. W ich wielkim salonie powiewał chłód a królowała sztywność, nie waham się powiedzieć: królowała nuda.

A może tylko ja nie umiałem się do tego salonu dostroić?

Natomiast serdeczna, miła, bezpretensjonalna atmosfera panowała na zebraniach u Gołębowskiego przy ulicy Długiej, w domu pań Wierzbowskich i u Felicyi Pancer, w Alejach Jerozolimskich.

dziesiąt morgów gruntu, są mi aż nadto dostateczne dla mego samotnego, oszczędnego i skromnego życia jakie sobie, choćby przy największych dochodach i dostatkach, do śmierci przepędzić zamierzyłem.

Proszę przyjąć wyraz głębokiego szacunku
i poważania z jakim pozostaję

Piotr Wysocki.

złp. 2553 gr. 10
odebrałem.

U Oskara Stanisławskiego bywało dużo figur urzędowych. Najbardziej utkwiał mi w pamięci częsty gość: hrabia Osoliński i córka jego, wielce uczona niewiasta: Wanda Tomaszowa hr. Potocka.

Równie dobrze zapamiętałem ministra Tymowskiego, z dwoma grzebykami wpiętymi we włosy. Te grzebyki pana ministra śmieszyły mię ogromnie. Nie mogłem się z niemi oswoić.

Placyk przed Resursą nic się nie zmienił, pozostał miłym i słonecznym.

Tutaj w domu generała Lewińskiego jakiś czas mieszkała autorka „Poganki“.

Ztąd przeniosła się na ulicę Miodową do pałacu Grabowskich. Na „Miodziogórze“, to jest na trzecim pięterku, u Narcyzy Żmichowskiej bywało ludno i miło. Nie zatrze się nigdy w mej pamięci mistrzowska gra Julii Bąkowskiej. Majaczy mi przed oczyma jakiś żywy obraz, który na „Miodziogórze“ zaimprovizował młody, piękny chłopiec artysta malarz: Wojciech Gerson. Skimborowicz występował jako Milton, pochmurny Bartoszewicz, słodki Frąckiewicz, astronom Baranowski, brali też udział w tym obrazie.

Dla wielkiej różnicy poglądów na ówczesną sytuację polityczną w naszym kraju, na aspiracje zbiorowej duszy naszego narodu, w zgodnem poprzednio kółku gości Narcyzy Żmichowskiej zapanaował rozdzwięk...

My, Sybiryacy, zaczęliśmy się z tego kółka usuwać... usuwać... „Miodziogórze“, któreśmy też

między sobą nazywali „Mont Parnas“ dla pewnych przyczyn przemianowaliśmy na „Mont Sinaï“....

Znajduję nową ulicę „Brühla“ piękną, żelazną kratę i bramę zamiast domu, który zamykał ulicę Niecałą od strony Saskiego ogrodu.

W tym nieistniejącym już domu, raz w niedzielę u p. Kryspiny Stelmowskiej, podczas południowego przyjęcia, dwaj panowie o trzeźwych głowach twierdzili, że wszelkie nasze patryotyczne ruchy po roku 1830 były politycznym błędem, może nawet były głupstwem, szaleństwem zapalonych, niedowarzonych młodzieńczych mózgów...

Oponując przeciwko temu, Narcyza Żmichowska tak się uniosła, że cisnęła na podłogę trzymaną w ręku filiżankę...

Po trzasku stłuczonej porcelany i brzęku rzuconej łyżeczki, w pokoju zapanowała ponura cisza... Unosiły się tylko westchnienia... te i owe z obecnych pań, które w potępionych „ruchach“ straciły najbliższych, ocierały łzy... a ktoś głośno wyrzekł:

— Fanaryoci!

Preopinanci chwycili kapelusze i nie żegnając nikogo, a żegnani niechęcią ogólną, szybko wymknęli się z domu p. Stelmowskiej.

Emilia Gosselin, nauczycielka, zadaniem swojego życia uczyniła nieść pociechę i pomoc politycznym więźniom i wygnańcom.

Kiedy 18 czerwca 1848 r. z ordynansshauzu, przy Saskim Placu, kibitkami wywożono nas na Sybir, wśród wielu odprowadzających nas osób zauważyłem sympatyczną, młodą, płaczącą, czarno ubraną kobietę, od której konwojujący oficer wręczył mi dar: mały, ceratą owinięty pakiecik.

Na pierwszym postoju do walizy wrzuciłem ów pakiecik, a dopiero w styczniu r. 1849 w Ust'ka-mienogorsku *) rozwinąłem go.

Zawierał pachnące mydło, szczotkę do włosów i piękny, duży gęsty grzebień ze słoniowej kości. Ten grzebień, za kosztowny, za wykwintny dla katorżników, a w dodatku bardzo kruchy i nietrwały, nieosobliwie świadczył o praktyczności ofiarodawczyni.

Używałem go przecież, a gdy się cokolwiek przybrudził, na gładkiej powierzchni grzebienia wystąpiły mikroskopijne litereczki... Natarłem je delikatnym popiołem z cygara... nabrały wyraźnych kształtów, tak, że zdołaliśmy odczytać napis: „Od-wagi, drodzy bracia! Ojczyzna owas nie zapomni“.

Jakoż to przyrzeczenie nie było rzucone na wiatr.

W Oczaïrze u Krzyżanowskich**) zastaliśmy listy z podpisem: „nieznajoma siostra, Emilia Gosselin“.

Rozpoczęta korespondencja trwała przez cały ciąg mojej katorgi w Omsku i podczas wygnania.

*) patrz: „Siedem lat katorgi“ P. W.

**) patrz: „Siedem lat katorgi“ P. W.

Przybywszy do Warszawy w r. 1857 najpierw zaszedłem do „nieznajomej siostry“.

W dworku pod kasztanami przez gospodynię Emilię Gosselin i stałych jej gości byłem iście po bratersku przyjęty. Emilia Gosselin natchnęła mnie myślą, abym się wziął do rzemiosła.

Uśmiechała się do mnie sympatyczna postać Kilińskiego, i — zostałem szewcem.

Z pierwszym swoim warsztatem po „wyzwolinach“ ulokowałem się w sąsiedztwie dworku pod kasztanami, przy ulicy dziś Mirowską zwanej.

Osoby przyjazne wyrabiały mi klientelę.

Wnet moje wyroby weszły w modę. Zamówień miałem mnóstwo, panie przysyłały obstalunki w wyperfumowanych liścikach zaadresowanych:

„Monsieur Simon de Tokarzewski“

Karety zajeżdżały przed moje skromne mieszkanko, aż się trzęsła ciasna i wązka uliczka. Moi przyjaciele ręce zacierali z uciechy; ja sam bardzo byłem zadowolony z plonów mojej pracy.

Po roku przeniosłem się na Tłomackie i nad moją pracownią szewcką zawiesiłem szyld:

Tu dostanie obuwia dla kobiet.

Szyld wydał się niezwykłym, w mieście wprost wywołał sensację i jeszcze więcej kupujących spowodował.

Zapytany, czemu utartym obyczajem na szyldzie nie umieściłem napisu: „magazyn obuwia damskiego“ — odrzekłem:

— Czczę i uwielbiam *kobiety*, lecz w naszym społeczeństwie nie uznają *dam*.

W moim skromnym lokaliku za sklepem w każdą sobotę zbierało się toż samo grono kobiet i mężczyzn, co we dworku pod kasztanami.

Często nasze grono, ściśle uczuciami i pragnieniami zespolone z sobą, powiększali ziemianie z bliższych lub dalszych okolic, dla wspólnych narad ze „starą Syberią“ do Warszawy przybyli.

Szymon Darowski*) z Krakowskiego, przyjeżdżał obładowany zakazanymi poezjami, które przepisywał własnoręcznie i nam deklamował bardzo często przy wtórze skrzypiec, a przeplatane pięknym śpiewem Karoliny Frybenówny.

Niekiedy, zjawiskowo pojawiał się jaki emisariusz z zagranicy....

Bardzo często policja wizytowała mnie w nocy.

Ale że byłem bardzo ostrożny, najskrupulatniejsze rewizje nie dawały żadnych rezultatów.

*) Szymon Darowski szlachcic starego rodu i wysoko wykształcony człowiek, Ściegieńszczyk, w latach czterdziestych wyuczył się ciesielstwa i jako majster cieśla prowadził propagandę wśród ludu. Tworzył też ładne wierszyki, najczęściej drukowane w Gazecie Warszawskiej, pod pseudonimem: „Cieśla“. — Przebrał się za chłopca i barwny strój krakowskich włościan bardzo często przywdziewał i z upodobaniem nosił podczas uroczystych występów. Jan Matejko malował jego portret.

Tylko raz komisarz cyrkułu wykrzyknął zadowolony w moim pokoju, wyciągając z za pieca plikę jakichś sznurkiem owiązanych papierów.

Zrobiło się mnie gorąco...

A nuż ktoś u mnie, bez mojej wiedzy, pozbył się niebezpiecznego ciężaru?... Wszak tylu i rozmaitych nieznanych bywało u mnie interesantów....

Wprędce jednak przy oględzinach wyjaśnia się, że to jest tylko zwój „Komunalów” obrzydliwego piśmidła, które wywoływało oburzenie w całym kraju.

Z czasem stałe tygodniowe zebrania w naszych kółkach z konieczności ustać musiały.

Schodziliśmy się tu i owdzie w małych grupach dla narad w razie potrzeby.

Z każdym dniem ubywał ktoś z naszego grona... Ten i ów byli wzięci do cytadeli, albo na Pawiak.... ten i ów zostali internowani do Rosyi.

Ja sam, jako rzekomy redaktor „Strażnicy”, na wygnaniu przez pewien czas przebywałem w Riazaniu *).

A gdym powrócił — Warszawa stała na wulkanie...

Żar tlał we wnętrzu — *jeszcze*, ale *już* czuć było, że lada chwila otworzy się krater i pożoga

*) patrz „Ciernistym Szlakiem”. P. W.

na ziemi polskiej buchnie, a krew potokami jej zbroczy.

Starsi, chłodniejsi, ostrożniejsi, z niepokojem i trwogą oczekiwali wybuchu, pocieszając się i kojąc nadzieją, że jeszcze uda się wybuch zażegnać, albo przynajmniej odroczyć!...

Tymczasem młodzi o krwi kipiątkiem krążącej zapytywali wciąż:

— Kiedy?... czy jeszcze nie czas?...

Aż wreszcie naczelnik rządu cywilnego, pan margrabia Wielopolski, zarządził brankę, na którą dwadzieścia jeden tysięcy, skazanej do wojska polskiej młodzieży, odpowiedziało jednomyślnym okrzykiem:

— Już czas!

I poszli do lasów...

I wybuchnęło powstanie...

Każdy kto bacznie i uważnie na te wypadki patrzył i kto sam brał w nich udział czynny — ma wszelkie dane mniemać, że gdyby nie owa „branka” pewno w naszych porozbiorowych dziejach nie byłoby krwawych kart 1863 i 1864 roku.

Warszawa we wrześniu

— Nie zgadlibyście, moi drodzy, co wam oznajmię—mówi do mnie p. Józefowa Leszczyńska.

— Ni mniej, ni więcej, tylko do jutra wypowiadam wam gościnę.

— Spodziewacie się rewizyi?... policja wpadła na moje tropy?



Józefowa Belina-Leszczyńska.

— A broń Boże! nie wywołujcież wilka z lasu, aby zaś nie wymówić w złą godzinę. Jest rzecz taka: dziś wieczorem u nas pierwsze po wakacjach zebranie młodzieży. To już wiecie, że tu co miesiąc zbiera się młodzież: studenci uniwersy-

tetu, starsi uczniowie i uczennice gimnazyów i pensyi. Deklamują, improwizują, muzykują, śpiewają. Lecz głównym tych zebrań celem jest wzajemne poznanie i porozumienie się młodzieży.



Józef Belina-Leszczyński.

— Więc są mowy, repliki, dyskusye...
— Ależ to bardzo ciekawe, ogromnie ciekawe...
Radbym ich posłuchać. Młodzież, wszak to przyszłość każdego narodu.
— Bez wątpienia. Tylko... jakby to zrobić?...

Nie możecie, wszak, być bezimiennym uczestnikiem zebrania. Dać wam inne nazwisko. Też ryzyko. Młodzież w naszym domu słyszała dużo o was i wasze portreciki zna doskonale — wiszą na ścianach i są w albumach...

— Więc jeśli by was kto poznał i niechający się wygadał...

— A gdybym był niewidzialnym słuchaczem przemów i dyskusji?

— Doskonała myśl, trzeba to jakoś urządzić.

...Wielki pokój, o trzech oknach, kilkoramiennym żyrandolem oświetlony *à giorno*, krzesła ustawiane pod ścianami, pianino otwarte, całe urządzenie rzeczywiście ma wygląd sali tanecznej, „bo w razie czego“ powiedziałyby się, że młodzież zebrała się na tańce.

Chłopcy wszyscy są w mundurach, panienki w jasnych sukienkach z bukietkami u pasków i kokardami u rozpuszczonych warkoczy.

Tylko kilka panienek starszych ma na sobie ciemne, brązowe suknie, czarne fartuszki, włosy zaczesane gładko.

Pomiędzy temi, bezpretensjonalnością swoją wyróżnia się wysoka, poważna, przystojna blondynka, która pośród pewnej grupy młodzieży wi-

docznie zajmuje wyjątkowe stanowisko. Nazywa się Stanisława M.*)

W przyległym gabinecie, za parawanem, wprost lustrzanej szafy, usadowiono mnie w ten sposób, że w wielkim zwierciadle najdoskonalej widzę odbicie wszystkiego co się dzieje w salonie. Gabinet jest niecoświatlony, przeto niema obawy, aby tam kto z gości wszedł. Zresztą we drzwiach na straży zasiadła przyjaciółka domu Leszczyńskich, przeznacna p. Walerya Matyńska.

Z dolatujących moich uszu rozmów dowiaduję się, że będzie przemawiał student warszawskiego uniwersytetu.

Panna Stanisława M. przygotowuje audytorium.

Zaleca skupienie uwagi, bo (mówi) „towarzysz“ przepędził wakacje w Szwajcaryi, gdzie miał możliwość poznać wszystkich przywódców „naszej partii“ i wielu wybitnych „jej“ członków. I wielokrotnie konferował z nimi.

Ta „nasza partya“ zaostrza moją ciekawość, słucham z napięciem ogromnem.

Pan * student uniwersytetu staje w ten sposób, że kandelabr oświeca jego piękną głowę.

Zaczyna.

*) Stanisława Motz, znana działaczka partii socjalistycznej. Przebywała dłuższy czas w Szwajcaryi, przed kilkunastu laty zmarła w Warszawie.

Zaczyna od ciśnięcia gromów na „szlacheczną”, pod której „okrutnym uciskiem” tyle milionów ludu przez tyle wieków jęczało... piorunuje na „klasy uprzywilejowane”, które w straszliwy sposób wyzyskują klasy pracujące... A dalej mówi: ci uciśnieni, ci wyzyskiwani, do nas wyciągają ręce, od nas spodziewają się ratunku i wybawienia i szczęścia. I słusznie. „My nie spiskowcy z trzeciego dziesiątka lat, my nie bojownicy z 63 roku, my jesteśmy członkami jednej, wielkiej narodowości, nieszczęśliwszej niż Polska, my jesteśmy członkami narodu proletaryuszów... Ani Polsce: „niech żyje!” ani „pereat” żadnemu narodowi nie wołamy... My znamy jeden tylko wspólny okrzyk: „proletariusze całego świata niech żyją!”

Mówca jest prześlicznym brunetem o purpurowych ustach, a przytem wytwornym elegancie. Modulację głosu ma bardzo miłą i dźwięczną, lecz chłodną. Przybiera poży malownicze, gestykuluje umiarkowanie i właściwie.

Widocznie oczarował pewną część audytorium, a że nietylko jest szlachcicem, lecz w dodatku hrabią, gdy skończył odezwały się głosy:

— Mirabeau! Mirabeau! bravo! bravo!

Nowoczesny Mirabeau kręci wąsiki, uśmiecha się wdzięcznie i widocznie jest bardzo z siebie zadowolony — chociaż prawil, a ściśle rzeczy bio-

rać trzebaby rzec, powtarzał frazesy oklepane już na trybunach i w dziennikach wygłaszane wielokrotnie, znane ogólnie, — chociaż z jego harangi było widać, że tylko jest głosicielem cudzych idei, lecz nie gorliwym tych idei wyznawcą i zręcznym ich propagatorem.

— Julek! powiem Stasi, że teraz ty chcesz mówić, — proponuje swojemu bratu*) jedna pa-nienka.

— Daj pokój! cóż u licha! przecież nie potrzebuję jej protekcji, ani pozwolenia. Mam tutaj takie same prawa, jak tamten — burzliwie odpowiada siostrze student, mający w swej postaci dużo młodzieńczej dzielności.

Staje, w tem samem miejscu, które opuścił „Mirabeau” i mówi:

— Przed chwilą z ust kolegi,—wymienia nazwisko—usłyszeliśmy, że klasy uciśnione, wyzyskiwane, do organizacji „Proletaryat” wyciągają ręce po opiekę, po wyzwolenie z ucisku, po szczęście... Czy to wyzwolenie, czy to szczęście od was kiedykolwiek dostaną?... czy wasza organizacja może je rozdawać wedle upodobań i woli?... Wszak:

*) Julian **, który właśnie to zebranie zorganizował.

„Świat ten, jest wieczna każdemu Golgota,
Darmo się duch miota,
Kiedy ból go zrani
Na burze żywota
Niema tu przystani...”

Lecz wy Zygmuntowych słów nie znacie, nie rozumiecie, bo odrzuciliście zasadnicze idee chryścjanizmu! Wy uznajecie tylko głód chleba, innych pożądań, innych głodów — nie!... Wszelkie loty górne, wszelkie aspiracje podniosłe wykreśliście z waszego programu. Na sztandarach waszych organizacyi wypisaliście: „Równość”, lecz usiłujecie ogniem i krwią przeprowadzić niwelację kast. *„Odbieracie ludowi niebo, a ziemi mu dać nie możecie”.*

O przeszłości naszego narodu większość z was wie tylko tyle, ile wam powiedział Iłowajski. To się tłumaczy i do pewnego stopnia usprawiedliwia i wybacza. Ale czemuż na tę przeszłość przekleństwa, potwarze, obelgi, z zjadłością rzucacie, jak na cuchnące i wstrętne śmietnisko?... Czy wolno potępiać to, czego się nie zna?...

Temu, kto nie zna historii, zaiste trudno uwierzyć, że gdzie ruiny dziś leżą, jeszcze niedawno stały gmachy piękne, wspaniałe, użyteczne... Ci nieświadomi mniemają, że przodkowie nasi nieodolnie kłecili tylko same nędzne lepianki, że zgoła byli niezdolni wznieść coś trwałego, coś pożytecznego zbudować... Tacy nieświadomi ze zło-

rzeczeniem i szyderstwem odwracają się od ruin nie pragną ich dźwignąć, owszem: usiłują zburzyć to, co jeszcze pozostało... Czy przecież z tych materiałów, z tych cegieł, które wy znosicie, uda się wam zbudować trwałe gmachy, gdzieby pomieściły się owe wszelkie ziemskie szczęśliwości i dobra, które obiecujecie waszym adeptom?...

Śmiem wątpić.

„Z tej strony grobu, przed zmartwychwstań
[wschodem

Bądź ty, człowieku, męką z niebios rodem,
Bądź arcydziełem nieugiętej woli,
Bądź cierpliwością — tą panią niedoli
Co gmach swój stwarza z niczego — powoli!
Bądź tą przegraną — której cel daleki,
A która w końcu wygrywa na wieki!
Bądź spokojnością — wśród burz niepokoju —
W zamęcie miarą — i strojem w rozstroju —
Bądź wiecznem pięknem w wiecznym życia
[boju!

Dla podłych tylko i Faryzeuszów
Bądź groźbą — gniewem — lub świętem
[milczeniem!

I nie miej żadnych z obłudą sojuszów!
Dla wszystkich innych bądź anielskiem tchnie-
[niem!

Bądź tym pokarmem, który serca żywi —
Bądź im łąką siostry — kiedy nieszcześliwi —

A głosem męzkim — gdy się w mężtwie
[chwieją!
Tym, którzy z domu wygnani—bądź domem!
Tym — co nadzieję stracili — nadzieją!
A śpiącym trupio—bądź przebudzeń gromem!

W ciągłej przykłady i słowa postaci
Rozdawaj siebie samego twej braci!
Mnóż ty się jeden przez czyny żyjące
A będą z ciebie jednego — tysiące!

Niech ból cię żaden choć boli — nie boli!
W jednej twej piersi — bądź twym całym
[ludem!
Bądź niebo z ziemią spajającym cudem!"

— Wedle tego programu my, narodowcy, pragniemy żyć i pracować... Azali ten program feruje wyrok zagłady dla jakiegokolwiek narodu, czy państwa?... Azali każe uciskać i gnębić jakie kasty?... azali nakazuje burzyć i niszczyć i złorzeczyć? Nie!... I po wieki wieków pozostanie chlubą naszego narodu, że się taki ideał począł w duszy Polaka.

Student mówił z zapalem, deklamował z uniesieniem bez pozy, bez efektacji.

Jego głos drgał uczuciem, w jego słowach czuć było moc przekonania... Na licach wykwitły mu rumieńce, oczy zapłonęły od silnego wzruszenia.

Na sali zawrzało...

„Mirabeau“ spogląda przymrużonemi oczyma. Sarkastyczny uśmiech wykrzywił mu usta.

— Ten pan odsłonił nam Psyche polską, — mówi, usiłując podniesionym głosem zapanować nad gwarem. — Dowiedzieliśmy się, że narodowcy swoje programy biorą z dzieł poetów.

— Uwieńczyć poetów różami i wyprowadzić ich za granice Rzeczypospolitej — radzi Platon — popisując się ze swoją erudycją, woła jedna z ciemno ubranych pańienek, — jedna z takich, z których tworzą się falangi pseudo-mówczyń, pseudo-filantropiek, pseudo-działaczek.

— Towarzyszu! odpowiedźcie temu panu! — woła kilka głosów naraz.

„Mirabeau“ lekceważąco potrząsa głową.

— Nie warto! wszak jesteśmy na zebraniu towarzyskiem, a nie na posiedzeniu partyjnym. Spotkamy się jeszcze nieraz i nieraz w czasie i miejscu odpowiedniem skrzyżujemy szpady z tym panem.

— W każdym czasie i miejscu służę — w stronę „Mirabeau“ skłonił się Julian. A zwracając się do swoich rzekł:

— Będę zawsze jednakowo mówił i utrzymy-

wał, że rozpętali złe instynkta w duszach prostaczków. Poco ludowi obiecują, że „ziemia należeć będzie do tych, co ją orzą”? Poco ludowi obiecują gruszki na wierzbie, które jeszcze nigdy i nigdzie nie urodziły się i nie urodzą się nigdzie.

Młodzież dzieli się na grupy.

Przeważną większość stanowią „narodowcy”.

Po tych dwóch przemówieniach wiec przekształca się w bardzo ożywione zebranie towarzyskie.

Myśl moja tymczasem cofa się o lat dwadzieścia i biegnie na Leszno, do kamienicy „*pod Jelonkiem*” — w pobliżu ulicy Solnej.

Tutaj w latach 1860 — 61 w mieszkanku Jana Kleczyńskiego *) schodzili się jego koledzy ze Szkoły Realnej i na zebraniach swoich owi młodzieniaszkwie „poruszali z posad ziemię”, a „siły mierzyli na zamiary”.

I gospodarz mieszkania i jego koledzy przy patryotyzmie gorącym, przy entuzjastycznym umiłowaniu nauki, dobra i piękna — nie byli zasobni w grosze. Więc każdy z uczestników zebrań przynosił z sobą serdelki, bułki i t. p. wiktuały, które

*) Późniejszy profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, już nieżyjący.

spożywali razem. Zimą, podczas mrozów, pod płaszcami, jak to mówią „podszytemi wiatrem, znosili wiązki drzewa do napalenia w piecu.

Dzielną to była młodzież i naogół na dzielnych ludzi wyrosła.

W moich wspomnieniach słania się postać pewnego chłopca z tego grona, o którym bardzo wiele słyszałem.

Chłopiec, którego mam na myśli, nazywał się Władysław Grabowski, wybitnych zdolności i woli niby stal hartownej.

Dla braku pieniędzy na wszelkie, choćby najtańsze środki lokomacyi, Władysław Grabowski piechotą udał się do Puław, gdzie 12 października 1862 właśnie założono politechnikę. Zdając egzamin — udzielał lekcye, korepetycye, innych aspirantów na studentów politechniki przysposabiał do egzaminów.

Zebrane wówczas własną pracą rb. 200 przesłał matce, a sam w dalszym ciągu utrzymywał się z lekcyi.

W r. 1863 poszedł do powstania i zginął bez wieści.

Pani Józefina Colonna Walewska *) komunikuje nam z zagranicy przywiezioną wiadomość, że

*) patrz Czernistym Szlakiam. P. W.

oprócz księży i tak zwanych „wieszających żandar-
mów“ wszystkich politycznych przestępców obejmie
koronacyjny manifest.

— Doskonała nowina i trzeba ją coprędzej



Józefina Colonna Walewska.

po Rosyi i Syberyi rozesłać stęsknionym wygnań-
com na pociechę. Tedy skończyło się podawanie
prośb — mówi Walenty Lewandowski.

Ja swą wdzięczność wynurzam kilku obecnym
paniom, które do paru, kolejno po sobie następują-

szawskich generał gubernatorów podawały prośby
o mój powrót.

— Moi drodzy, nie obciążajcie swego serca
wdzięcznością, — odpowiada panna Helena Doma-
szewska, — bo z temi prośbami, coprawda, nie było
wielkiej subiekty. Co innego w latach czterdzie-
stych, kiedyście rozpoczęli waszą działalność, za
czasów namiestnika Paskiewicza. Piśmienne proś-
by w namiestnikowskiej kancelaryi składane nie
dawały żadnych rezultatów. Jeśli ktoś zdołał jaką
ulgę lub uwolnienie politycznego więźnia uzyskać,
to tylko na audyencji u namiestnika. Paskiewicz,
erywański hrabia, a ksiązę warszawski w b. kró-
lewskim zamku petentom audyencji udzielał w sali,
gdzie był rozpięty namiot, w którym pod Erywa-
niem spoczywał. Ten namiot i całe urządzenie
sali miało na celu przypominać petentom, że
przyjmuje ich bohater i wielokrotny zwycięzca na
polach bitw i dyplomatycznych zapasów. Ksiązę
Paskiewicz na audyencye przywdziewał feldmar-
szałkowski mundur. Od torsu księcia wprost bi-
ła oślniewająca łuna od mnóstwa brylantowych
orderów. Przyjmował stojąc, lewą dłonią wsparty
o wielki stół „empire“ mahoniowy, umocowany na
złożonym gryfie, a zarzucony zwojami map i sto-
sami papierów. Niechętnie i bardzo rzadko ksią-
żę namiestnik udzielał audyencji, lecz skoro się
na takową zgodził, sprawiedliwość nakazuje przy-
znać, że był dla petentów uprzejmy, a złasz-

cza dla kobiet noszących stare, szlacheckie nazwiska.

— Co zawinił?... za co był sądzony?... to były pytania ks. Paskiewicza.

Wówczas dopiero dla wypytywanej zaczynała się ciężka katusza.

Obawa, żeby nie powiedzieć więcej niżli trzeba... żeby jednym, nieopatrzmem, lub zbyt celnym słówkiem nie pogrążyć ukochanego więźnia w cięższą jeszcze niedolę, żeby nie popłatać, nie pogmatwać jego zeznań.

A skoro już z tej indagacji wybrnęło się jakokolwiek, feldmarszałek jał ubolewać nad niestałością i niewdzięcznością Polaków i mówił:

— Wszak nie kto inny, tylko cesarz „Wskrzesiciel” własną monarszą ręką, miłościwie napisał: „*Królestwo Polskie*” na mapie Europy, z której imię Polski już wykreślone było i zatarte... Wszak sami Polacy na transparentach malowali grób, z którego cesarz „Wskrzesiciel” wyprowadza Sarmatę. I to przecież było tak niedawno!

Tej przemowy trzeba było słuchać stojąc, z namiętną uwagą, bo namiestnik bystrem spojrzeniem ogarniał oblicze słuchaczki, azali nie dostrzeże na nim śladów znudzenia, lub zniecierpliwienia. A wreszcie kończył:

— Wy, Polacy, jesteście urodzonymi wichrycielami i rebeliantami. Wszak wasi właśnie królo-

wie z wyboru nie zdołali was w należytych karchach utrzymać! Czy nie tak było? Przyznaj pani sama. Więc przypuśćmy, przypuśćmy... żebym dla obchodzącego panią więźnia coś uczynił... jestem pewien że... że za ledwieby uwolniony został, wnetby konspirować zaczął nanowo, bo: „*qui a bu, — boira, c'est incontestable*”.

Taki zwykle bywał epilog audycyi u księcia feldmarszałka, namiestnika Paskiewicza.

Lecz, w b. zamku królewskim, w sali audycjonalnej księcia namiestnika, petenci bądź co bądź bywali traktowani bardzo uprzejmie.

Natomiast, w sposób w najwyższym stopniu brutalny z publicznością obchodził się ówczesny warszawski policmajster: Abramowicz.

Każdy szlachcic obywatel ze wsi, chociażby na jeden dzień przyjeżdżający do Warszawy, musiał osobiście meldować się w ratuszu i nieraz godzinami całymi w biurze wyczekiwać przyjęcia i indagacyi. Abramowicz zapytywał przybysza: zkąd przyjechał?... pociąg?... jak długo zamierza w Warszawie zabawić?... gdzie, czy u kogo ulokował się na czas pobytu swojego w mieście?

Trzeba było na wszystkie pytania pana policmajstra Abramowicza z jaknajwiększą ścisłością odpowiadać — a już w wypowiedzianych projektach, co do ulokowania się w mieście, broń Boże! niewolno było nic zmieniać.

Jeszcze bardziej brutalni byli ci, którzy w rę-

kach trzymali życie i losy tysięcy uwięzionych więźniów politycznych.

Więc: prezes komisji śledczej Storozenko, Leichte, Sijanow, Żuczkowski, Blumenfeld, Bosakiewicz, Kwieciński, późniejszy zarządca pałaców cesarskich w Warszawie.

Każda bytność w cytadeli u więźniów, lub też w interesie więźniów, to było istne przejście przez wszystkie stopnie upokorzeń i bólów Golgoty.

Uprzejmość, serdeczne, prawdziwe niekłamanne współczucie dla łez, dobrą radę — w którą stronę starania zwrócić, w obrębie cytadeli można było znaleźć tylko w domu komendanta twierdzy, generała Simonicza i uroczo pięknych jego córek.

Jedną z tych dobrych panienek, poślubioną grekowi, generałowi armii rosyjskiej, Maurusowi — spotkał Józef Leszczyński na Litwie, gdzie w okolicach Lidy posiadała obszerne majątki.

Zawsze piękna i majestatyczna pamiętała cytadelę; pamiętała nazwiska wielu więźniów, lubiła opowiadać, że jej ojciec nieraz musiał formalne batalie staczać z córkami, skoro te gwałtownie domagały się dla więźniów ulg, wprost niemożliwych do udzielenia lub niezależnych od komendanta twierdzy.

W jakiegokolwiek świata stronie znajduje się obecnie pani z Simoniczów generałowa Mauruso-

wa, — w chwili kiedy te słowa kreślę moje serce zwraca się ku niej z pozdrowieniem i wyrazami wdzięczności.

Po tych wspomnieniach, które nawet z biegiem całego szeregu lat nie przestają boleć moralnie, przez to, że najstrasliwiej nad politycznymi więźniami pastwili się właśnie urzędnicy Polacy, przed moją wyobraźnią sunie korowód widmowych postaci moich niegdyś dręczycieli.

— A kysz! a kysz! a kysz! — odstraszam te widma złowrogie, aby mi nie mąciły chwil błogich, które w umiłowanej Warszawie, pośród wypróbowanej wierności przyjaciół przepędzam.

Przemiłą zawarłem znajomość, a nawet powinienem rzec przyjaźń, z parą Łużyczan: ze znany Łużyckim patryotą i działaczem Janem Smolarem i małżonką jego, Ernestyną Smolarową.

Serbowie Łużycy, czyli Łużyczanie, przez Niemców „*Wenden*“ zwani, chociaż od jedenastego stulecia pozbawieni niepodległości, chociaż ze wszech stron przez Niemców otoczeni i uciskani, przez tych nieprzejeżdżanych wrogów nawet imienia słowiańskiego — zdołali przecież utrzymać swoją narodowość.

Ogniskami narodowego ruchu są miasta: Budyšin i Chociebuż.

Za najważniejszy swój obowiązek, działacze i patryoci łużyccy uznali pieczę nad rozwojem narodowego języka i literatury.

W latach czterdziestych *) założyli „Macierz łużycką“, której celem jest wydawanie popularnych książek, oraz czasopism i rozszerzanie takowych wśród ludu.

Z początku swoje książki i dzienniki drukowali w niemieckich drukarniach, co było połączone z wielkimi kosztami i trudnościami.

Z biegiem lat „Macierz łużycka“ założyła własną drukarnię, a wówczas ilość wydawanych książek i czasopism wzrosła, a czytelnictwo rozkrzewiło się ogromnie.

Zamożni, wykształceni Łużyczanie na oświatę ludu nie szczędzą ani zabiegów, ani pieniędzy. Ośm czasopism rozdają bezpłatnie.

W r. 1881 Józef Ignacy Kraszewski ofiarował pewien fundusz na przygotowywanie łużyckiej młodzieży do ojczystej służby.

Alfons Parczewski **) adwokat przysięgły z Kalisza doradził założenie: „Towarzystwa pomocy naukowej dla kształcących się Łużyczan“.

Jednym z głównych celów Towarzystwa tego jest przygotowanie księży i nauczycieli ludowych, żeby tak ważne posterunki: szkoły i kościoły nie

*) XIX wieku.

**) Obecny poseł z Kalisza do Dumy.

były obsadzone przez Niemców, gdyżby to groziło powolnem wynarodowieniem.

Piękny, patryotyczny cel, mądry statut „Towarzystwa“, wymaga do rozwoju swego dużych sum, które trudno byłoby znaleźć na miejscu.

Józef Ignacy Kraszewski doradził księdzu Michałowi Hornikowi i Janowi Smolarowi, wiceprezowski „Towarzystwa pomocy dla kształcących się Łużyczan“, aby po materyalną pomoc udali się do pobratymczego narodu, do Polaków.

Tedy, Jan Smolar przyjechał do Warszawy i przebywał tutaj prawie cały rok.

Sprawą Łużyczan zajęły się najwybitniejsze tutejsze osobistości jak: dr. medycyny Tytus Chałubiński, redaktor „Tygodnika Ilustrowanego“, Ludwik Jenike, redaktor „Wędrowca“, Filip Sulimierski i wielu innych.

Obficie sypały się składki na „Towarzystwo pomocy dla kształcących się Łużyczan“.

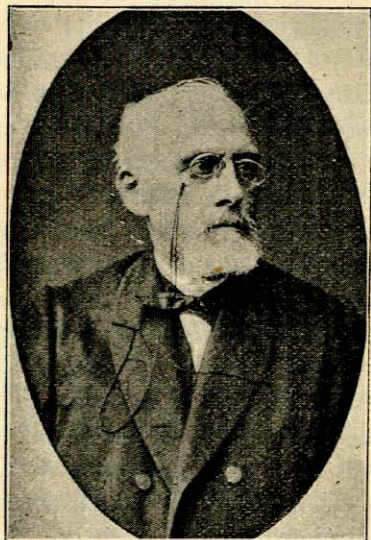
Państwa Smolarów poznałem w domu Józefostwa Leszczyńskich, gdzie zwykle przepędzali niedziele i dni świąteczne.

Józef Smolar wysoki, suchy, bladej, z twarzą o kształtnych rysach, o wyniosłym czole i włosach białych, robił wrażenie ascety.

Poważny, milczący, zadumany, ożywił się dopiero wówczas, kiedy podnoszono kwestyę narodowości i oświaty Łużyczan.

Wówczas stawał się ożywiony i wymowny — My Łużyczanie — mówił — z prośbą o pomoc zwró-

ciliśmy się najprzód do polskiego narodu dlatego, że nam jest od innych słowiańskich plemion bliższy, a to jeszcze od czasów Bolesława Chrobrego, który nad Łużycką ziemią panował i w Budyszy-



Jan Smolar.

nie małżeńskie śluby zawarł z córką naszego Dobromira. Wilhelm Bogusławski w swej książce *) powiada: „Bolesław Wielki najechał i zabrał ser-

*) „Rys dziejów serbo-łużyckich“, r. 1861.

bo-łużyckie kraje. Najazd ten porwał węzły łączące łużycki lud z cesarstwem niemieckiem. Takim sposobem uderzenie Polaków na kraje średniej Łaby, jeżeli nie ocaliło mieszkających tam Słowian od niewoli niemieckiej, to przynajmniej część ich postawiło w takim położeniu, że zaciętość niemiecka ku zniszczeniu narodowości słowiańskiej musiała zużyć się bez skutku“. Więć jak świadczy historia, dawni Polacy dopomogli do tego, że my Łużyczanie jeszcze Słowianami jesteśmy, obecnie w smutnem naszym położeniu wśród wrogów przychodzimy do was, bracia, prosić abyście nam dopomogli, żebyśmy nadal i nazawsze Słowianami pozostali.— Oby Polacy, — a łużyccy Serbowie, pod berłem króla Bolesława Wielkiego zjednoczeni na krótki czas, słowiańską myślą i uczuciem byli połączeni na wieki.

Niechajże ta nadzieja nigdy nie zawiedzie naszych pobratymców!

Chociaż umysłowem wykształceniem nie dorównywa swojemu mężowi, pani Ernestyna Smolarowa sercem podziela jego patriotyczne, górne cele i zupełnie się z niemi zespala.

Już za Uralem otrzymałem od Jana Smolara wiadomość, że jeździł do Petersburga... Ale różowe nadzieje, które pokładał w społeczeństwie rosyjskiem, co do solidarności słowiańskiej... bardzo mocno przybladły.

Siedzimy wieczorem na werandzie cukierni Loursa.

Tak łatwo wmówić w człowieka to czego pragnie gorąco. Przeto i we mnie przyjaciele wmówili mi, że za kilka miesięcy powrócę do kraju.

Ta błoga pewność, nowe horyzonty, nowe nadzieje odsłania przedemną.

Zwykłe nasze grono dziś powiększył krewny Józefa Leszczyńskiego: Maryan Zawisza. Szlachcic to starego autoramentu.

Grubo niemłody, kawaler, krępy i niski, pasyami lubi tańczyć i prowadzić mazura. Znajomi dali mu przydomek „Zawierucha“.

Posiada w ziemi rawskiej piękny majątek: Sadkowice, gdzie swoim własnym sumptem „bez niczyjej pomocy“, jak mówi, stawia kościół *).

I właśnie, chociaż to pora siewów, przyjechał do Warszawy na konferencye z architektem, z poetą i z całą rzeszą rozmaitych rzemieślników.

Te konferencye absorbują mu całe dnie. Wieczorem zaś przychodzi do Józefostwa Leszczyńskich, aby jak powiada: „rzucić się na łono rodziny“.

Zwykłe pan Zawisza bywa w brylantowym humorze. Jak z rogu obfitości sypie anegdoty zawsze dowcipne, częstokroć drastyczne, chociaż trzeba przyznać, że te ostatnie pan Maryan bardzo zręcznie umie jedwabiem obwijać.

*) Konsekrowany w r. 1884 przez J. E. ks. Arcybiskupa Popiela.

Dzisiejszego wieczoru opowiada bardzo dowcipnie, ile wycierpiał z powodu pierwszej opery Moniuszki przedstawionej w Warszawie, z powodu Halki.

— Bo żeby też ten narwaniec Włodzimierz Wolski wykoncypował takie paskudne libretto do tej cudnej muzyki. I pomyśleć, że to już na wieki wiekuiste pozostanie... A toć ja sam, byłbym pana Włodzimierza karmił suto i przystojnie odziewał podczas tworzenia libretta do opery Moniuszki, — i hojnie za inną fabułę zapłacił...

Podczas opowiadań Zawisza co i raz skinieniem przywołuje garsona i każe mu przynosić: to pudełko cukierków, to paczkę ciastek, naprzemian.

— Bo przecież — tłumaczy te swoje ciągle zakupna — skoro tak długo zasiadamy miejsca w cukierni, właściciel musi z nas mieć intratę.

Z humorystycznych anegdot niestrudzony narrator przerzuca się do wspomnień lirycznych.

Opowiada jak w r. 1869 we Florencji, ówczesnej stolicy Włoch, zwiedzając park królewski, ujrzał zdaleka króla Wiktora Emanuela. Podbiegł ku niemu i przedstawił się, jako szlachcic polski, którego siostra rodzona poślubiła Świdzińskiego... a ponieważ matka Franciszki Krasińskiej, królewiczowej Karolowej, była też Świdzińska... przeto niektóre stare szlacheckie polskie rody są z domem Sabaudzkim spokrewnione..... Jak on, Maryan Zawisza, dokumentnie wytłumaczył to Wiktorowi Emanuelowi, który słuchał bardzo uważnie, — nie

przerywał, ani zaprzeczał, owszem przytakiwał łaskawie. A potem rozkazał przedstawić sobie całe towarzystwo z Zawiszą królewski park zwiedzające (Towarzystwo wyłącznie z dobrej, starej szlachty złożone). I ze wszystkimi król Emanuel był za pan brat i winem w jakiejś altance częstował, na cześć pięknych Polek (a rzeczywiście w tem gronie było kilka prześlicznych pań) a także za pomyślność Polski toasty spełniał...

Maryan Zawisza do łez rozrzewnia się, opowiadając ten fakt autentyczny, świadczący o popularności „*del re galantuomo*“.

Tymczasem, podczas króciutkiej pauzy, w narracji — słyszę, że za mną ktoś cicho wymawia: — Pan Szymon Tokarzewski! — wymawia dwukrotnie, lecz nikt się z powitaniem nie zbliża.

Rozumiem!... wytropił mnie jakiś szpieg, przecież nie będąc pewnym, chce dokumentnie sprawdzić tożsamość mojej osoby... gdybym się obejrzał, już miałby niezbity dowód. Więc, jak trusia, niby na rozżarzonych węglach siedzę, a lubo czuję przeżywające mnie nawskroś sztylety spojrzeń szpiegowskich, — rozmawiam bardzo spokojnie, śmieję się swobodnie bardzo.

Jestem zgubiony, — niema co! nie wyslizgnę się tym razem z sideł... to pewna!...

Jedynem mojem już teraz pragnieniem jest, wyrwać się z tej werandy i odejść, aby swoją obecnością nie kompromitować i na odpowiedzialność nie narażać moich przyjaciół.

Pułkownik Walenty Lewandowski, niechcący ułatwia mi wybrnięcie z przykrej sytuacji zapomnieniem, że to dziś sobota.

Dwa razy miesięcznie, w soboty bywały męskie zebrania u Aleksandra Krajewskiego, przy ulicy Oboźnej.

Zrywam się i, prawie nie żegnając towarzystwa, wybiegam na placyk przed hotelem Europejskim. Wsiadam do dorożki i każe się wieźć w Aleje Ujazdowskie.

Już jest godzina dziesiąta.

Na Nowym Świecie większa część sklepów już zamknięta. Przechodniów bardzo niewielu.

W Alejach Ujazdowskich już zupełnie pusto.

Przy świetle gazowych rewerberów tu i owdzie dostrzegam siedzące na ławkach, przytulone do siebie, oczywiście romansowe pary.

Ciągle doznaję wrażenia, jakoby śladem mojego wehikułu dążyła inna dorożka.

Przysiągłbym że tuż za mną słyszę stapania znużonego dorożkarskiego szłapaka...

Jestem pewien, że ściga mnie szpieg...

Jestem pewien, że skorobym wysiadł, każe mnie aresztować i do ratusza, albo na Pawiak powiezie natychmiast.

— Już koniec Alei, panie, — mówi dorożkarz odwracając się do mnie z kozła, — już Belweder.

— Belweder — powtarzam jak echo.

— Pan każe do rogatek, czy też za rogatki jechać?

— Wsiadę — odpowiadam po chwilowym namyśle i wysiadam nie mając żadnego planu, żadnego pomysłu, co dalej robić ze swoją osobą?...

Tak! nie myliłem się: trop, w trop za mną dążyła dorożka, zajęta przez dwie osoby: kobietę i mężczyznę.

Odgaduję.

Szpicel zabrał ze sobą kompankę, aby od siebie odwrócić moją uwagę, moje podejrzenia, aby swemu pościgowi za mną nadać pozór romantycznej eskapady.

Schodzę z szosy w aleję. Oni zawracają.

Ja dążę ku miastu — oni też ku miastu dążą nogą za nogą, równolegle ze mną...

Zresztą absolutna pustka. Tylko ku Łazienkom galopem posuwają się dwa odkryte powoziki, wiozące oficerów grodzieńskiego pułku lejbgwardyi.

Otoczają mnie obszary ciche, rozjaśnione srebrzystym księżycą blaskiem.

Lewą stronę Alei zajmuje letni obóz wojsk.

Białe namioty obozu wyglądają niby jurty nomadów. Obóz już we śnie pogrążony. Tu i owdzie mignie coś — jak iskra, albo jak skrzydełka przelatujących świetlików — to ostrze bagnetu szylkwacza.

W pośrodku Alei, sylwetkowemi kontury, na srebrzystym tle rysuje się wydłużona postać stójkowego.

A tamci wolniusienko, wolniusienko, wciąż, wciąż jadą za mną...

W oddali błyszczą blade, smętne światelka z okien Ujazdowskiego szpitala.

Z pierwszego piętra pałacyku, na rogu ulicy Pięknej, biją łuny światła.

Fortepian i wiolonczela wtórują tenorowi śpiewającemu pieśń włoską, której melodyjne strofy przez otwarte okna weneckie i koronkowe zasłony echo porywa i rzuca je w pustkę, w ciszę Ujazdowskiego Placu i Alei.

Z kręgu światła skręcam na lewo i przez bardzo mroczne ulice: Wilczą, Mokotowską, Bracką wydostaję się na Nowy-Świat.

Przystanąłem na rogu.

Ścigający mnie szpicel oczywiście zgubił mój trop — dorożki z parą pasażerów nie było.

Z gardziela ulicy Obożnej na Krakowskie-Przedmieście wysuwa się korowód z kilkunastu mężczyzn złożony.

Poznaję ich, to moi znajomi, przyjaciele, niegdyś towarzysze — katorżnicy, ex-wygnańcy, wracający teraz z wieczornicy, od Aleksandra Krajewskiego.

Na czele korowodu idą: Pług *), Bułharowski, Pióro, Aleksander Rodkiewicz, Antoni Wałęcki, Wołody Skiba **).

Przystają chwilę, kończą rozpoczętą gawędę, zaczem rozchodzą się w różne strony miasta.

Jestem pewien, że każdy z tych ludzi bez

*) Antoni Pietkiewicz, literat, poeta.

**) Sabowski.

względu co potem nastąpi zaprosiłby mnie do swojego domu na nocleg.

Lecz właśnie ja tego nie chcę... Ja nie chcę narażać przyjaciół swoich na ciężką odpowiedzialność.

— Jeśli mam ginąć—niechaj ginę sam!—myślę, we wnętrzu jakiejś bramy kryjąc się tak, że nikt z przechodzących moich przyjaciół, nikt mnie nie dostrzeże.

Minęli mnie...

Tymczasem do wiedeńskiego dworca nadjeżdża hotelowy omnibus i kareta...

Błyska mi szczęśliwa myśl...

Wskakuję do napotkanej dorożki i wraz za omnibusami i za karetką do hotelu wjeżdżam, jako podróżny świeżo do Warszawy przybyły. W hotelu mogę przenocować; tutaj już nikt za udzielenie mi schronienia i noclegu nie będzie odpowiedzialny...

Jestem niemłody, przyzwoicie ubrany, nie budzę żadnych podejrzeń. A że już jest dobrze po północy, a ja rzeczywiście ogromnie zdenerwowany i znużony, odrazu rzucam się na łóżko, nie pyta mnie służący o nazwisko, ani nie żąda legitymacji, tembardziej że mu dałem dwudziestopięciorublowy banknot, prosząc aby mi go zmienił i z herbatą przyniósł rano.

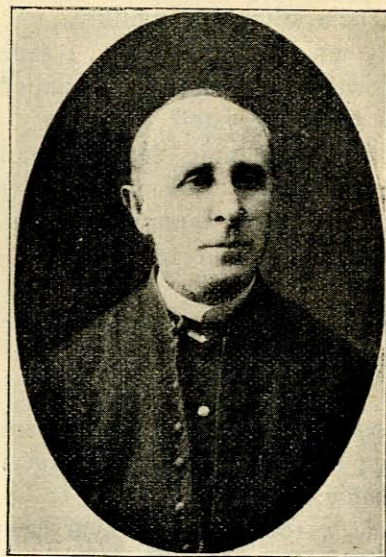
Leżałem bez ruchu, nie mogąc zasnąć.

Tymczasem płynęły godziny, kwadranse, liczyłem je i usiłowałem oswoić się z myślą, że to są

już ostatnie godziny, ostatnie kwadranse, które przepędzam na wolności...

Szpicel już pewno zaalarmował ratusz.

Lada chwila policja zarządzi rewizję po domach i we wszystkich hotelach...



Kanonik Teodor Rogoziński.

Lada chwila mnie zaaresztują i do cytadeli odstawią.

O jakże prędko spełniają się obawy kanonika Rogozińskiego!

Czemużem nie posłuchał mądrej rady przyjaciela?...

Czemu?...

Czemu żem popełnił czyn, rzeczywiście nierozważny wysoce?...

Czemu?...

Ach! bo tęsknota do Ojczyzny, tak mi duszę rwała, szarpała, żarła, aż rozsądek i rozwaga i wszystkie inne uczucia stłumione umilkły...

Ale czy ten, kto mnie ściga i zadenuncjuje, czy taki człowiek, jest zdolny zrozumieć i odczuć tęsknotę do ziemi ojczystej?

Nie! on oskarży mnie, żem do kraju powrócił w celach konspiracji. Oskarży zaś tem śmieiej, że socjalistyczny ruch, zapoczątkowany przez Ludwika Waryńskiego, od r. 1876 rozwijał się u nas coraz bardziej...

Wstrząsa mną dreszcz lęku, dreszcz oczekiwania gromu, który musi nieodzownie we mnie uderzyć.

Rozprzegają się resztki mojej energii, obojętności moją duszę poczucie samotności i opuszczenia, znękania.

Wreszcie w rozgorączkowanym moim mózgu myśli przestają wirować... Wpadam w stan absolutnej prostracyi...

W pokrępiającym, chociaż krótkim śnie, przepaliła się we mnie gorączka trwogi. Zaczynam sam z siebie szydzić i strofować się za swoje wczorajsze tchórzostwo.

Przy pogodnym słonecznym dniu nerwowa moja wczorajsza wrażliwość tężeje zupełnie.

Rzeczywistość odsłania się przedemną, niby krajobraz, z którego opadły ciemności i mgły...

Decyduję się opuścić Warszawę najpierwszym pociągiem, jaki odejdzie w kierunku Kostromy, i z drogi dopiero dać moim przyjaciółom wiadomość o moich obawach i przygodach.

Jestem spokojniejszy, niżli wczoraj. Jestem zrezygnowany przyjąć mężnie wszelkie pociski, jakie los ma dla mnie w swoim kołczanie — jednak wychodząc z pokoju płochliwe spojrzenie zapuszczam w głąb hotelowego korytarza.

Pusto...

Wolnym, swobodnym krokiem zadowolonego z siebie safandudy ze wschodów schodzę — nagle...

Po za sobą słyszę cicho, nieśmiało wymówione:

--- Pan Szymon Tokarzewski, z Halicza...

— Oho! niema głupich! niedoczekanie twoje, abym się obejrzał, niedoczekanie, naiwny szpiclu! myślę i idę, ani przyśpieszając, ani zwalniając kroku.

A głos tymczasem powtarza:

— Pan Szymon Tokarzewski z Halicza.

Na pierwszym piętrze ktoś zachodzi mi drogę z flanku...

Anim drgnął, anim się zatrzymał...

Aż tu czarno, żałobnie ubrana postać wyciąga ku mnie ręce, delikatnie ujmuje moje dłonie i słodki dźwięczny głosik pyta:

— Czy pan mię naprawdę nie poznaje, czy też tylko poznać nie chce?..

Pytająca osóbką odrzuca krepowy welon i ze zdumieniem widzę — znajomą z Halicza.

— To pani, Anno Piotrowno, wołam, — pani w żałobie i po kim?

— Po mamie, — odpowiada panienka i łzy tryskają jej z oczu.

— Biedactwo! mówię ze szczerem współczuciem. Co pani porabiasz w Warszawie?... z kim przyjechałaś i poco?

— Przyjechałam sama. Przyjechałam w celu znalezienia zarobkowej pracy. Ze śmiercią mamy, zarazem straciłam byt oparty na emeryturze. Pan zna przecież Halicz i wie, że tam trudnoby nawet marzyć o jakimkolwiek zarobku. W Warszawie, jak słyszałam, o lekcye rosyjskiego języka nietrudno. Ja skończyłam instytut w Moskwie, mam patent... Więc przyjechałam się starać o lekcye... W braku znajomych stanęłam w hotelu... Ja wczoraj wieczorem na werandzie u Loursa spostrzegłam już pana i, ucieszyłam się ogromnie. Ale pan był w licznej, wesołej towarzystwie, przeto nie śmiałam się zbliżyć...

— I — przerywam gwałtownie — i dwa razy wyrzekłaś pani półgłosem: „pan Szymon Tokarzewski“. Czy tak?

— Tak! tak właśnie.

— Bodaj też panią Bóg kochał, napędziłaś mi kolosalnego strachu, no! — wybucham

śmiechem uszczęśliwiony, bo całe olbrzymie rusztowanie moich podejrzeń co do szpiega i obaw, co do aresztowania mnie wali się w tej chwili. Czuję się znów spokojny w kochanej Warszawie.

Znajoma, którą spotkałam, Anna Piotrówna, chociaż rosyanka doskonale włada polskim językiem.

Przez parę lat w Haliczu mieszkaliśmy w jednym domu i one, nasze sąsiadki, zachwycone prześliczną grą na skrzypcach kanonika Rogozińskiego, coprawda, trochę niechętnie z naszej strony z początku, przecież zaznały się z nami.

Z biegiem czasu pozyskały naszą życzliwość, bo matka dobre, potulne stworzenie, serdecznie współczuła naszej doli, czyli właściwie naszej niedoli wygnańców i tem chwyciła nas za serce, czego znów Anna dokazała, z zapalem ucząc się po polsku, studiując historję naszego narodu, uwielbiając naszą literaturę i naszą poezję.

Jak umiem, jak mogę pocieszam płaczącą biedaczkę.

— Moje znajome zaopiekują się panią i wskażą jej biura pośredniczące w znalezieniu lekcji. Będziemy bardzo radzi, że lekcye rosyjskiego języka naszej młodzieży będzie udzielała osoba, przyjazna Polakom. Tylko — śmieję się kiedyśmy już do Leszczyńskich jechali — tylko na ulicy nie wywołuj pani mojego imienia i nazwiska. Niech ręka Boska od tego broni!

— Jezus! Marya! a to czemu?

— Bo, w Warszawie *ja*, nie jestem *ja*.

— ?

— Nie rozumie pani? No! to musisz pohamować swoją ciekawość, gdyż rozwiązanie zagadki otrzymasz dopiero, kiedy stanę w Kostromie. A teraz, — sza!

Ten mój kilkunastogodzinny strach, lubo nieuzasadniony, był jednak przestrożą, że nie trzeba przeciągać struny, — że mój nielegalny pobyt w Warszawie, pobyt bez paszportu trwa już za długo, że wreszcie może się stać i dla mnie i dla moich przyjaciół niebezpiecznym....

Jest na Uralu słup uwieczniony dwiema tablicami.

Na jednej z tych tablic jest napis:

Europa.

Na tablicy z odwrotnej strony widnieje napis:

Azja.

Po owym miłym, niezapomnianym pobycie w Warszawie, w listopadzie 1882 r. po raz trzeci w mem życiu przejeżdżałem granicę Europy.

Tym razem nie byłem wieziony do miejsca kaźni.—Do guberni permskiej dążyłem: „za chlebem“.

Tym razem już do Azji jechałem nie jako polityczny przestępca, skazaniec na katorgę, ale jako obywatel olbrzymiego rosyjskiego imperyum.

Wprawdzie byłem obywatelem pod ścisłym dozorem policyjnym i obywatelem pozbawionym wielu praw wolnego człowieka.

Przywrócił mi te prawa manifest koronacyjny w r. 1883.

Zaczem stęskniony i skołatany tułacz na stałe już osiadłem w Warszawie.

Do nabycia we wszystkich księgarniach:

BANDROWSKI JERZY. Romans Marty, stron 404	1.50
JAROSZYŃSKI TADEUSZ. Wieża z kości słoniowej — stron 170 (in 4-o)	1.80
TOKARZEWSKI SZYMON. Pamiętniki z wię- zień, robót ciężkich i wygnania: Siedem lat katongi z trzema portretami, stron 228	1.00
Ciernistym szlakiem z ilustracjami, str. 252	1.20
Bez paszportu z ilustracjami	0.60
PRAŻMOWSKA T. Dzieje trzech rozbiorów pol- ski oraz ruchu narodowego w XIX w. Dla dorastającej młodzieży, stron 308	1.20
ŁUBIEŃSKI MACIEJ hr. Złota nić. Powieść, stron 312	1.50
KUPRIN A. Jama. Powieść współczesna (z ros- syjskiego) stron 136	0.60
KROGULEC. Połusztannikow onże Spodeński. Ko- respondencja braterska. Serja I i II, cena zniżona po	0.20
WŁAST M. Opowiadania z puszczy Amerykań- skiej. (Powiastki dla młodzieży) z 34 ilu- stracjami, stron 218, karton	0.90